

WŁADYSŁAW BYRSKI — urodzony 22 czerwca 1912 roku w rodzinie robotniczej ogromnym wysiłkiem własnym ukończył Gimnazjum, a następnie Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty. We wrześniu 1939 roku walczył w wadowickim 12 pp. Ranny przedostał się do Krakowa i po wyleczeniu rozpoczął działalność konspiracyjną. Aresztowany i osadzony w KL Auschwitz, po dwóch dniach został przeniesiony do więzienia w Mysłowicach. Po wojnie wrócił do Krakowa.

Artykuł jest częścią wspomnień nadesłanych na konkurs organizowany przez Zarząd Dzielnicy ZIW Kraków-Krowodrza.

(red.)

WŁADYSŁAW BYRSKI

W OKUPOWANYM KRAKOWIE — WSPOMNIENIA KOMBATANTA

Ranny w czasie walk na lubelszczyźnie we wrześniu 1939 roku różnymi środkami transportu podążałem w kierunku Krakowa. Ostatni fragment drogi pokonałem pod plandeką niemieckiej ciężarówki pocztowej jadącej do Katowic. Późnym wieczorem któregoś dnia, korzystając z zatrzymania samochodu na podjeździe mostu przy ul. Starowiślniej w Krakowie, zeskoczyłem na krakowski bruk. Pożegnałem uczynnych pocztowców i ruszyłem na ul. Zwierzyniecką 8.

Pani Wybranowska, u której mieszkalem przed powołaniem do wojska, widząc mnie zabrudzonego i pokrwawionego rozplakała się. Poprosiłem ją o przenocowanie do następnego dnia. Zamierzałem pójść do szpitala, a jej podałem adres swoich rodziców w Wadowicach i poprosiłem o zawiadomienie ich o moim losie.

Rano, po zgłoszeniu się do szpitala przy ul. Kopernika zostałem zbadany przez jedynego obecnego lekarza, który stwierdził gangrenę i widoczne gołym okiem robaki. Powiedział mi, że lewą rękę trzeba obciąć. Nie zgodziłem się i płacząc oświadczyłem stanowczo, że nie pozwolę sobie ręki uciąć. Na moje żądanie zgodził się tylko na obandażowanie i zagipsowanie ręki. Po tym zabiegu zostałem umyty i przyjęty do szpitala. Siostry przyjmujące mnie długo zastanawiały się czy zapisać mnie jako wojskowego czy cywila. W końcu zdecydowały, że zapiszą mnie jako cywila i na karcie wpisały duże „C”. Siostra Polskiego Czerwonego Krzyża po spisaniu danych zgłosiła mnie jednak do ewidencji PCK jako wojskowego. Dzięki temu do dziś figuruje moje nazwisko w kartotece Zarządu Głównego PCK jako uczestnika kampanii wrześniowej.

Ojciec mój, po otrzymaniu wiadomości o pobycie moim w szpitalu krakowskim, mimo wielkich trudności w dotarciu do Krakowa przedostał się tutaj przy pomocy znajomego maszynisty na lokomotywie wojskowego transportu z Zatora. Na widok mojej ręki złożonej na temblaku rozplakał się. Chcąc go pocieszyć i okazać dobry stan zdrowia, pomimo ogromnego bólu, zacząłem ruszać rękami i zapewniać, że nic mi nie jest.

Po dwóch tygodniach do szpitala powróciła większa ilość lekarzy. Zaczęli się nami więcej zajmować. Stwierdzili, że

moja lewa ręka jest źle złożona i trzeba ją ponownie łamać. Takie łamanie i składanie przeszedłem dwukrotnie. Mimo potwornego bólu cieszyłem się, że nie będą jej amputować.

Przez okres 5 tygodni na karcie miałem znak „C”. W czasie zmiany opatrunku lekarz spytał mnie o historię dwukrotnego postrzału ręki. Opowiedziałem mu wszystko i tym samym zdradziłem się nie wiedząc, że jest to Ukrainiec. Zapytał mnie — A to pan wojskowy? — skreślił „C” i czerwonym ołówkiem zaznaczył „W”. Podał też moje nazwisko Niemcom, którzy ujęli mnie w swoim wykazie oficerów.

W niedługim czasie siostry dowiedziały się, że będę przewieziony do szpitala przy ul. Krupniczej pod nadzór niemiecki. Był to szpital jeniecki urządzony w dawnej Bursie im. Kuźnowicza. Stąd po wyleczeniu, rannych oficerów wywożono do Oflagu. Jedna z sióstr, o nazwisku Płaczkówna, po kryjomu, z trudem pobrała z magazynu moje cywilne ubranie, które dostarczył mi Ojciec. Inne siostry ryzykując utratą wolności wypisały mi zezwolenie na wyjście.

Przed Świętami Bożego Narodzenia 1940 roku, przy 40 stopniach mrozu, z narzuconą na ramiona bluzą i w letnim płaszczu (z powodu usztywnienia i braku możliwości wyprostowania ręki) opuściłem szpital i wyjechałem do Zatora.

Na skutek odnowienia się ran poprzez wychodzące odłamki podjąłem leczenie u dr Kowalewskiego — dobrego znajomego mego brata. Skierował mnie on do dalszego leczenia szpitalnego wraz z listem polecającym do swego brata, który był kierownikiem Kliniki Chirurgii przy ul. Kopernika w Krakowie. Do szpitala przyjęto mnie jako cywila.

O przybyciu do szpitala powiadomiłem swego kolegę Kęska. On to w czasie odwiedzin powiedział mi, że Niemcy wydali zarządzenie o rejestracji na pocztę wszystkich teletechników pod karą utraty wolności. Na moją prośbę zarejestrował mnie, a 30 złotych zapomogę przynosił mi do szpitala.

Po wyjściu ze szpitala, przy pomocy Kęska rozpocząłem pracę na Poczcie Głównej w Krakowie.

Po kilku miesiącach przechodząc ul. Starowiślną spotkałem szkolnego kolegę — Niemca. Rozmawiając z nim zauważyłem na kołnierzu i czapce trupie czaszki. Zdziwiony zapytałem go czy jest w SS. Tłumacząc się odpowiedział, że jest kasjerem

w Starostwie Polskim przy al. Słowackiego. Nawiązałem z nim stały kontakt z zamiarem wyciągania od niego różnych informacji — w tym czasie miałem już kontakty z kolegami pracującymi w konspiracji. O swoim spotkaniu opowiedziałem jednemu z nich. Już na drugi dzień miałem spotkanie z prowadzącym ewidencję SS-manów. Pokazał mi album z ewidencją Niemców gdzie zobaczyłem m.in. fotografię swojego znajomego. Byłem zachwycony dokładnością naszego wywiadu. Złożyłem krótką relację charakteryzującą mojego znajomego SS-mana jako człowieka uczuciowego i sprzyjającego Polakom. Ze łzami w oczach opowiadał mi o tym, że chce się wyrwać z SS. Doradziłem mu aby symulował chorobę serca, a przed każdą wizytą u lekarza jadł dużo różnych proszków i popijał czarną kawą. Przełożeni z podziemnej organizacji Związek Walki Zbrojnej, do której właśnie wstąpiłem, polecieli mi utrzymywać z nim stały kontakt. Było mi to na rękę, bowiem odwiedzając go co tydzień w kasie Urzędu wymieniałem po 100 lub 200 marek po urzędowym kursie podczas gdy czarnorynkowa cena była znacznie wyższa.

Znajomy ten pomógł mi w załatwieniu przepustki przez granicę do Zatora. W późniejszym czasie kilkakrotnie uprzedzał mnie o planowanych masowych obławach na Polaków. Po raz ostatni spotkałem się z Hustolcem w początkach 1941 roku. Powiedział mi, że dzięki moim radom zwolnił się z SS i jako cywil przeniesiony został do Protektoratu Czech i Moraw na stanowisko nadzorcy mienia pożydowskiego. Miał przejąć jakąś fabrykę.

Inne dziwne spotkanie przeciwnika i zdrajcy narodu przeżyłem w pierwszych miesiącach okupacji. Około połowy 1940 roku przechodziłem linią AB na krakowskim Rynku wyprzedzając trzech mundurowych Niemców. Nagle jeden z nich podbiegł do mnie i chwycił za ramię mówiąc po polsku

— Panie poruczniku — stał przede mną mundurowy unterscharführer i ciągle trzymając mnie za ramię przywołał swoich dwóch kolegów, mówiąc do nich również po polsku

— Patrzcie to mój oficer z polskiej armii — wychwalając mnie przed nimi stałe powtarzał — Panie poruczniku, z pana był morowy chłop.

Głośno dziwiłem się i mówiłem, że go nie poznaję, a on mi przypominał walki pod Choczną i wymienił swoje nazwisko — Surowiecki.

— Surowiecki? Pamiętam jak pan uciekł z wojska. Uznano pana za dezertera i szpiega.

Odpowiadał mi ze śmiechem, że wie o tym, ale nic go to nie obchodzi. Tymczasem jego koledzy chwycili mnie pod ramiona i pomimo mojego oporu i tłumaczenia się, że zaraz będzie godzina policyjna, a ja nie mam pieniędzy wciągnęli mnie do miodosytni „Nur für Deutsche”. Tutaj postawili na stół dwa dzbany grzanego wina i zaczęła się rozmowa. Tytułowali mnie po polsku porucznikiem. Tłumaczyłem im, że polskiej armii już nie ma, że mi zaszkodzą, pokazywałem oficerów SS przy sąsiednich stolikach, przypominałem o wywożeniu oficerów. W końcu odwołałem na bok Surowieckiego i wytłumaczyłem mu, że muszę jednak iść bo nie mam pieniędzy na rewanż i umówiłem się z nim na następny dzień.

Potem przez długi czas nie wychodziłem do miasta, z pracy wracałem prosto do domu — żeby się z nimi przypadkiem nie spotkać.

Swoją przepustkę przez granicę GG wykorzystywałem do przewożenia z terenu Rzeszy prasy konspiracyjnej i przerzucania ludzi. Wiedzieli o tym liczni znajomi mojej rodziny. Pewnego dnia w 1941 roku przyjechał do mojego brata kolega z Wadowic z prośbą o przerzucenie do GG jego znajomej. Nie pytając kto to wyraziłem zgodę. Wyzaczyłem jej spotkanie w następną niedzielę i poleciłem aby zabrała ze sobą butelkę

wódki, którą muszę dać celnikowi. W umówioną niedzielę kolega przyprowadził do naszego domu młodą kobietę z małym synkiem. Wystający spod woalki nos i akcent jej syna od razu zdradzały, że jest Żydówką. Wysłałem ich do kasy po bilety, swój bilet miałem już wykupiony. Gdy później wsiedliśmy do pociągu stwierdziłem z ulgą, że służbę ma znajomy celnik. Powiedziałem mu, że jadę z kuzynką do Krakowa. Zgodził się pod warunkiem, że następnego dnia rano kuzynka wróci. Po przyjeździe do Krakowa okazało się, że nie ma ona gdzie pójść — poprosiła mnie o nocleg. Zgodziłem się i zabrałem ją do mieszkania siostry gdzie spędziła następne dwa tygodnie. Wychodziła przy tym bez żadnych dokumentów do miasta i to codziennie. Wydanie dla niej fałszywej kennkarty było niemożliwe z uwagi na jej wyraźnie semicki wygląd. Po 16 dniach poprosiłem ją aby opuściła nasze mieszkanie gdyż umowa dotyczyła tylko przewiezienia jej przez granicę — odeszła bez słowa podziękowania i pożegnania.

Wiele wysiłku i pieniędzy włożyłem w ratowanie mojej siostry, która została aresztowana za poszukiwanego przez Gestapo męża. Nie uchronił jej nawet fakt, że była w 8 miesiącu ciąży i w celi tarnowskiego więzienia urodziła córkę. Jedyną pomocą był dla niej więzienny lekarz Ukrainiec który dostarczał jej onuc używanych zamiast pieluch. Ojciec chcąc ratować córkę zwrócił się do tarnowskiego Gestapo z prośbą o jej zwolnienie powołując się na swoją 12 letnią pracę w Niemczech, gdzie miał możliwość poznać sprawiedliwość niemieckich władz. Po tej interwencji siostra została zwolniona, natychmiast zabrałem ją do Krakowa i postarałem się o pracę na Poczcie. Wkrótce też wciągnąłem ją do organizacji konspiracyjnej gdzie nosiła pseudonim „Juna”.

Korzystając z rusznikarni Bahnschutzpolizei urządzonej przy torach do Płaszowa nawiązaliśmy kontakty z Niemcami poszukującymi możliwości zdobycia pieniędzy. Kupowaliśmy od nich, za niewielkie pieniądze, broń krótką i amunicję. Ponieważ z rusznikarni do mojego mieszkania nie było daleko broń dostarczano do mnie, a ja ukrywałem ją w dużym otworze nieczynnej ubikacji. Nie budziło to niczych podejrzeń. W czasie rewizji mieszkania przez Gestapo — kryjówka ocalała.

W okresie letnim 1942 roku do mego mieszkania przy ul. Starowiśnej 52 zapukało w umówiony sposób dwóch młodych ludzi. Wymienili ustalone na ten tydzień hasło i powiedzieli, że przyszli po towar. Wprowadziłem ich do ubikacji, podniosłem sedes i wyciągnąłem 25 granatów i zapalniki. Po zaostrożeniu granatów załadowano je do skrzynki i wyszliśmy z mieszkania. W bramie usłyszeliśmy odgłos hamującego tramwaju i chłopcy wybiegli ze skrzynką chcąc zdążyć na ten wóz. Tymczasem przy wejściu natknęli się na patrol niemieckiej policji. Dowódca patrolu zapytał co mają w skrzynce — ponieważ sytuacja i tak była właściwie beznadziejna jeden z młodych ludzi odpowiedział

— granaty — policjanci uznali to za dowcip i zabrali ich do najbliższej bramy gdzie otwarto skrzynkę. Na widok rzędu zapalników starszy wiekiem dowódca patrolu zaklął i co prędzej zabrał swoich ludzi w dalszą drogę. Próbujący się sprzeciwić młody policjant poganiany był przez dowódcę.

Byłem również organizatorem transportu dorózkami maszyn do pisania z długim wałkiem niezbędnej do przepisywania pism podziemnych. Po zebraniu dokładnych informacji o posiadaniu takich maszyn przez Bezpieczalnię Społeczną przy ul. Batorego zorganizowano przy pomocy maszynistek akcję wyniesienia takiej maszyny w porze obiadowej. Czas wyjścia Niemców na obiad podały nam urzędniczki Bezpieczalni. Jednym z uczestników akcji był zawiadomiony w ostat-

niej chwili Mieczysław Jamka „Jamik”, którego oderwano od czyszczenia broni i dlatego „uzbrojony” był w niezłożony pistolet. Pod nieobecność Niemców wszedł on do jednego z pokoiów biurowych i przykrywając maszynę peleryną próbował ją wynieść. Spozstrzegła to sprzątaczką i zatrzymała go pytaniem dokąd zabiera maszynę. Wyjaśnienie, że do naprawy nie zadowolilo jej ponieważ akurat ta maszyna tego samego dnia wróciła z warsztatu po naprawie. W tej sytuacji nie było innego wyjścia jak sterroryzować kobietę pistoletem i zamknąć w ubikacji po uprzednim związaniu rąk i zakneblowaniu.

Moim zadaniem było przetransportowanie maszyny na miejsce przeznaczenia. Maszynę wiozły kolejne cztery dorożki co miało uniemożliwić trafienie na ślad konspiracyjnej drukarni.

Wielkie uznanie konspiracyjnych przełożonych wzbudziło załatwienie przeze mnie „lewych” legitymacji pocztowych, do których Niemcy odnosili się z dużym szacunkiem, szczególnie do zawodów technicznych. Pliki takich legitymacji, które dostarczała mi znajoma urzędnicza kadr, wraz z pieczęcią „*Deutsche Post Osten*” i podpisem butnego szefa technicznego, przekazałem swojej jednostce.

O każdej niemieckiej obławie wiedzieliśmy od oficerów i podoficerów policji granatowej, będących zarazem członkami naszej organizacji. Mieliliśmy ich prawie w każdym Komisaracie. Mimo tych informacji, pewnego dnia 1942 roku, zostałem zaskoczony ogromną obławą urządzoną bez udziału policji granatowej na ul. Starowiślniej pomiędzy ulicami Dietla i Miodową z jednoczesną blokadą wszystkich bocznych uliczek. Niemcy zatrzymywali na tym odcinku wszystkie tramwaje, przechodniów, a nawet wyciągali ludzi z bram. Będąc w akcji ubrany byłem w mundur pocztowy, nienawidzony przez pracowników ze względu na duży napis „*Deutsche Post Osten*” na rękawie, a w ręku niosłem małą teczkę. W teczce były trzy pistolety i kilka magazynków. Widziałem szwabów spędzających ludzi na środek ulicy — zdawałem sobie sprawę, że porzucona teczka z bronią da im okazję do rozstrzelania wielu osób. Mając zabezpieczenie w postaci ampułki cyjanku śmiało podszedłem do jednego z Niemców, którego twarz wydała mi się sympatyczna, i powiedziałem do niego po niemiecku że jestem pracownikiem „*Deutsche Post Osten*” na służbie i bardzo mi się spieszy. Kazał mi podnieść rękę do góry, co natychmiast uczyniłem, podnosząc jednocześnie teczkę. Obmacał mnie od ramion do nogawek, a potem wypchnął z tłumu. Na uginających się i płaczących nogach wyszedłem poza kordon. Broń z teczki trafiła z powrotem do konspiracyjnej skrytki.

W 1942 roku zostałem powołany na świadka wykonania wyroku śmierci na Polaku — konfidentie skazanym przez Wojskowy Sąd Specjalny. Człowiek ten nie wiedział o wydanym na niego wyroku i za wszelką cenę usiłował dostać się do

organizacji i rozpoznać kontakty jej członków. Niektórych z nich poznał już wcześniej toteż niczego nie podejrzewając przybył na wyznaczone spotkanie. Po upewnieniu się, że nic nie budzi jego podejrzeń i ubezpieczeniu terenu czujkami z bronią, zaprowadzono go do piwnicy przy ul. Koletek pod niemieckim warsztatem samochodowym. W piwnicy odczytano konfidentowi wyrok wydany w imieniu Rzeczypospolitej i zapytano go w jaki sposób chce umrzeć dając do wyboru pętlę, brzytwę i pistolet. Pokazano mu wykopany dół mówiąc, że będzie tam leżał w towarzystwie innego konfidenta i niemieckiego żandarma.

Zdrajca na ten widok rozplakał się. Jeden z uczestników akcji widząc jego minę wyciągnął własną ampułkę cyjanku i podając mu powiedział

— Masz tu ostatnie pożywienie moje, które noszę aby zawsze móc uciec przed takimi psami jak ty.

Drugi kolega podał mu szklanę z wodą. Długo się wahał, w końcu podnosząc ją w górę poprosił aby się zająć jego synami, aby wyrosli na prawych Polaków. Ponaglony pistoletem wypił truciznę i natychmiast zmarł. Wrzucono go do przygotowanego dołu i zasypano.

Wielkiego osiągnięcia dokonaliśmy na Poczcie Głównej w 1943 roku montując i uruchamiając radiostację nadawczo-odbiorczą dla jednostek 6 Dywizji Piechoty Armii Krajowej w Krakowie. Oddała ona ogromne usługi w pracy wywiadowczej Odcinka „*Żelber*”, w kontaktach z Londynem i innymi jednostkami AK. Wykonana została z części wynoszonych z działu technicznego i ze stacji wzmacniakowej przez starszego teletechnika Obrzydowskiego.

Zimą 1942 roku jeden z kolegów w czasie świątecznego przyjęcia wręczył mi ulotkę i namawiał mnie do wstąpienia do konspiracyjnej Polskiej Partii Robotniczej. Chwalił się, że mają w Krakowie dużą drukarnię i wydają wiele pism podziemnych. Odmówiłem tłumacząc, że jestem już członkiem innej organizacji gdzie składałem przysięgę. Kilkaście dni później jeden z oficerów policji granatowej uprzedził nas o mającej się odbyć obławie w rejonie ulicy Kalwaryjskiej w celu wykrycia działającej tam komunistycznej drukarni. Za zgodą mojego dowódcy uprzedziłem o tym fakcie kolegę. Drukarnia została przeniesiona dosłownie na godzinę przed otoczeniem całego terenu.

28 października 1943 roku zostałem aresztowany w konspiracyjnym lokalu w Bielsku dokąd przywoziłem materiały dla partyzantki działającej w tamtym rejonie. Moja nieobecność w pracy następnego dnia spowodowała alarm w organizacji. Mieszkanie opróżniono z wszelkich przedmiotów mogących budzić podejrzenia. Po kilku tygodniach tortur i śledztwa w czasie którego do niczego się nie przyznałem wywieziono mnie do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a stamtąd do więzienia w Mysłowicach.